

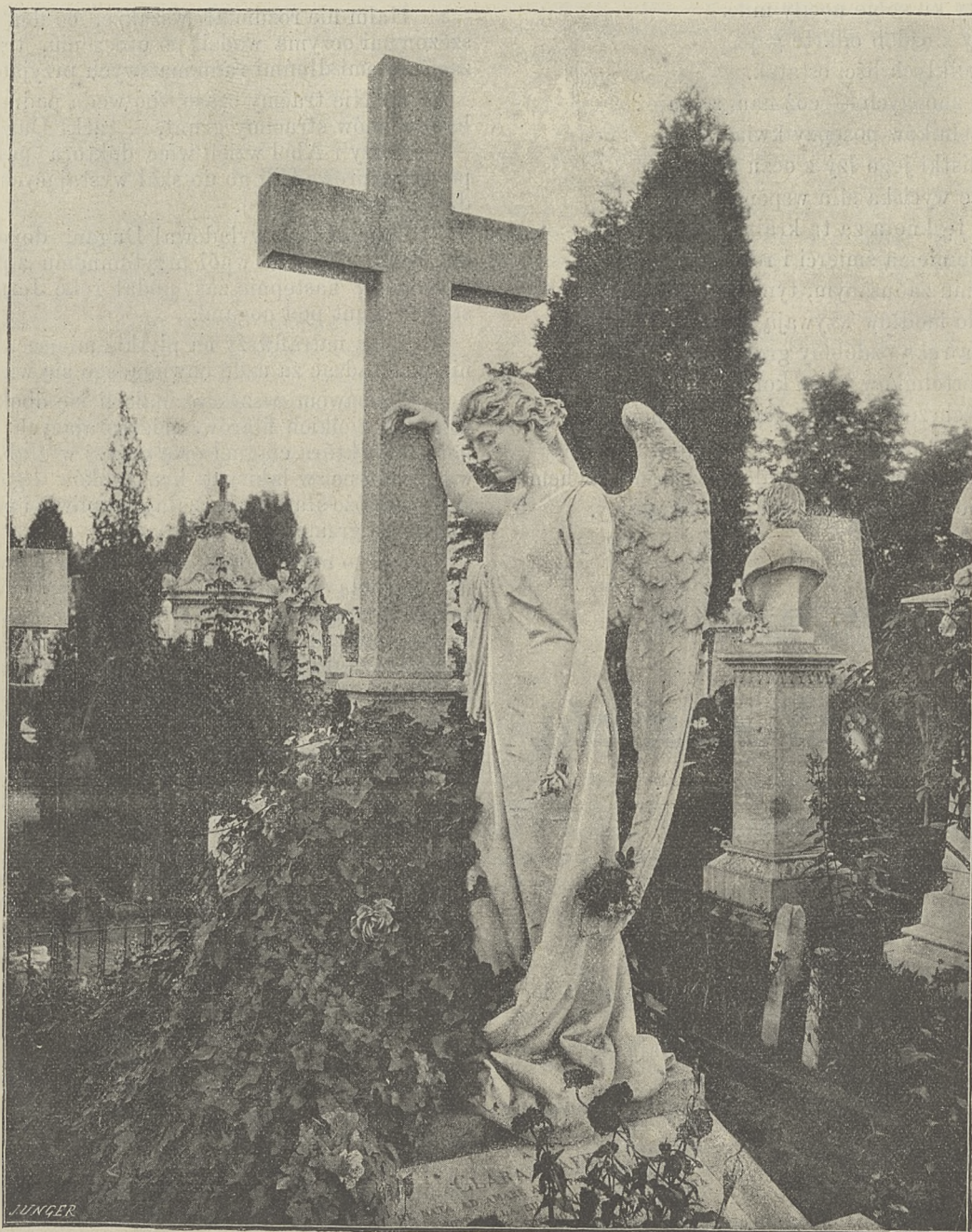
№ 44. Rok XV.

Dnia 21 Października (2 Listopada) 1895 r.



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



W dzień zaduszny.

* *

O! jakże chmurny dzisiejszy ranek;
 Jakże ponuro brzmią świątyni dzwony.
 Jak blade, smutno, wygląda wianek,
 Z nieśmiertelników kwiecica spleciony.
 Och! gdy słowiki nuciły w gaju.
 W błękitach dzwoniąc nikły skowronki,
 Ołtarze Maryi, w miesiącu maju,
 Zdobił bez wonny, fijołki, dzwonki.

A gdy bzu śliczne okwitły krzaki,
 Puszczyście w lasach zwiędły sasanki;
 Wśród fali kłosów bławaty, maczki,
 Tworzyły świeże, barwne równianki.
 A nawet wówczas, kiedy po lesie,
 Jesień chłodniejsza niosła już chwile,
 Po wonnej róży i lilii kwiecie,
 Astry ku sobie ściągały mile.

A dziś gdy z ozdób odarte gaje,
 Tracą pożółkłych liści ostatek,
 Na święto zmarłych — cóż nam zostaje?
 Nieśmiertelników posępny kwiatek!

Na listki jego łyż z oczu płyną,
 Co je wyciska siła wspomnienia,
 O! i tęsknota za tą krainą,
 Gdzie niema śmierci i rozłączenia.

Więc w dniu zadusznym, tym dniu żałoby,
 Gdy nas do modłów wzywają dzwony,
 Przychylną ręką ozdóbmy groby,
 W nieśmiertelników jasne korony.

I niechrześcijańskim żalu wybuchem,
 Spokoju zmarłych nie zakłócajmy,
 Lecz wzniosłszy się w niebo sercem i duchem
 O wieczne szczęście dla nich błagajmy.

E. L.

W pustyniach Australii.

PRZEZ

Włodysława Umińskiego.

(Dalszy ciąg).

— Tę! tę! — powtarzał doktor.

W pięć minut potem wielbłąd szanownego entomologa zanurzył się poraz pierwszy.

— Nie dopłynię, — rzekł Dugan, spoglądając ze współczuciem na walczące ze śmiercią zwierzę.

— I mój także! — dodał Abel; — kolekcja doktora przepadnie.

— Moja kolekcja, moja kolekcja! — powtarzał z rozpaczą Halm.

Dugan wziął do serca narzekania uczonego, i zaczął czynić usiłowania, mające na celu uratowanie drogocennych zbiorów. Współ z Morborą udało się im przeładować pudło na

najsilniejszego wielbłąda, który, jak się należało spodziewać, mógł dopłynąć do brzegu.

Przeznaczenie chciało jednak, aby nasz uczonego stał pozbawionym owoców swej półrocznej, mrówczej pracy, która miała mu przynieść chlubę za powrotem do ojczyzny; o kilkaset metrów dalej, dromader, unoszący na swym grzbiecie drogocenne pudło, zanurzył się i, po krótkiej walce z żywiołem, poszedł na dno.

W kilka minut potem utonął i wielbłąd doktora; dwa pozostałe, podtrzymywane i zachęcane przez pływaków, czyniły rozpaczliwe usiłowania, ażeby zbliżyć się do lądu, oddalonego o niecałe sto metrów.

Jerzy, zmęczony z powodu Halma, dyszał ciężko; znać było po nim, że wydobywa z siebie ostatki energii.

Niewiadomo, jakby się skończyła przeprawa, gdyby nie to, że Morbora, ku wielkiej radości pływaków, dosięgnął wreszcie gruntu; za chwilę ludzie i zwierzęta czuli pod nogami miękkiego piasek i zatrzymali się, aby odpocząć.

— Uf! nie czuję rąk i nóg! zawołał Jerzy — jesteś pan niemiłosiernie ciężki, doktorze.

— I przeszkadzasz nam, zamiast zachowywać się biernie, — dodał Abel; — niech się panu zdaje, że jesteś workiem piasku...

Halm nie rozumiał wszakże, co doń mówiono; wytrzeszczonymi oczyma wodził po otoczeniu, trzymając kurczowo zaciśniętymi dłońmi ramiona swych przyjaciół.

— Nie traćmy czasu, bo woda podnosi się ciągle i niebawem znów stracimy grunt, — rzekł Dugan.

Jerzy i Abel wzięli więc doktora pod pachy i, brodząc po szyję, prowadzili go do skał wystających z wody o kilkadziesiąt kroków dalej.

Najpierwszy wylądował Dugan, dopomógł wdrapać się na śliskie głazy na wpół przytomnemu z przestachu i żalu doktorowi, następnie zaś podał rękę Jerzemu, który nagle stracił grunt pod nogami.

Tom, natrafiwszy na płytkie miejsce, zbliżał się powolnie, prowadząc za udeł chwiejącego się wielbłąda.

Niebawem wszyscy znaleźli się obok siebie na brzegu, wpośród wielkich filarów, podpierających sklepienie obszernej groty, która ciągnęła się gdzieś w głąb. Fala przyływu wdzierała się w labirynt krużganków i galeryi, roztrzaskując się o podnóże słupów, huczała chrapliwie i przeciągle, jak echo dalekiego grznotu.

Był to niby ląd, właściwie zaś półwysep, łączący się niską groblą z wnętrzem jaskini; wygląda o półtora metra zaledwie nad poziom wód, które nie przestawały się podnosić, chociaż nie tak szybko, jak na początku; należało się więc obawiać, że przybór pokryje w ciągu nocy miejsce, na którym podróżni szukali schronienia. Zmrok jednak zapadał, niepodobna było zatem szukać wygodniejszego punktu.

Gromadka nasza, siedząc na nagiej skale, wpatrywała się w zwierciadło tak cudownie powstającego wpośród pustyni jeziora. Dugan z boleścią myślał o utraconych wielbłądach i zapasach żywności, które pozostały nad rzeką; czuł on, że po tej niespodziewanej klęsce ma niejako odcięty odwrót z krainy nadzwyczajności do zamieszkałych okolic, i to przekonanie dręczyło go niesłychanie. Nie dawał jednak poznać, co się działo w głębi jego duszy, ażeby nie potęgować rozpaczliwych towarzyszy. Doktor był bowiem niepokojony po szkodzie niepowetowanej, jaka go spotkała przed chwilą i omal nie płakał. Jeszcze gorszym był stan Toma, którego los pozabawił odrazu zdobytych z takim móżdżem skarbów. Najbogatszy w całej Australii placer, z którego biedny pastuch spodziewał się czerpać złoto pełnemi garściami, leżał obecnie na dnie wielkiego, głębokiego jeziora, którego zwierciadło rozciągało się het, poza horyzont z jednej strony, z drugiej zaś przenikało pod tajemnicze sklepienie rozległych pieczar, odcinając odwrót zuchwałym podróżnikom z krainy nadzwyczajności.

Zaiste, przyroda srożej zażartowała sobie ze śmiałków, którzy chcieli zbadać jej tajemnice.

XVII.

PRZYGODY NA JEZIORZE.

Obawy Dugana co do przyboru były, jak się pokazało, płonnymi; wody jeziora, w ciągu nocy i dnia następnego podniosły wprawdzie o metr, lecz w końcu wszystko doszło do równowagi.

Podróżni mieli przed sobą obszerną płachtę wody, na której, przy pomocy perspektywy, mogli dostrzedz kilka ciemnych pól, bezładnie rozmieszczonych i trochę zieleni oaz, nadbrzeżnych, które zamieniły się w wysepki.

Uwnijścia do jaskini, pośród filarów na nagiej skale, wyprawa zaczęła cierpieć dotkliwy niedostatek. Dugan zdecydował więc, ażeby brodzić wzdłuż brzegu, aż do jednej z widzianych zdaleka oaz.

Propozycję tę przyjęto chętnie i opuszczono niegościny przytułek popołudniu, nazajutrz po katastrofie. Płynąc, to znów brodząc naprzemiany, podróżni dostali się nareszcie na jeden z pagórków, pokrytych roślinnością, gdzie wielbłądy znalazły obfitą solną trawę, ludzie zaś stadko, zabłąkanych jakimś cudem papug, które wybawiły ich od dokuczliwego głodu.

Utracono bowiem w powodzi cały zapas prowiantu; nie ocalała nawet mała część zapasów, zabrana na wycieczkę; mąka zawarta w worku i puszka z mięsem solonem, cukier, wszystko to utonęło wraz z dwoma wielbłędami. Podróżni znajdowali się w posiadaniu paczki tytoniu, herbaty, gąsiorka z koniakiem i niewielkiego pudełka konserw z zasuszonych jarzyn, które nic nie znaczyły wobec sześciu głodnych żołądków.

Kłeska była, jak widzimy, dotkliwą i groziła zagładą wyprawie. Jedyny ratunek leżał w tem, żeby jaknajprędzej, bez straty jednego dnia, puścić się w powrotną drogę.

Tak też postanowił uczynić Dugan.

Przebywać jednak te same stępy, pozbawione wody, przestrzenie zarosłe skrubem, rozległą krainę filarów piaszczystych, było to zadanie nad siły. Podróżnik, przyprowadzony do ostateczności, postawił swe i swych towarzyszy życie na kartę losu; umyślił bowiem skierować się na zachód, i dosięgnąć, jeżeli się da, linii telegrafu, biegnącej przez ład Australii z południa na północ. Obierając tę drogę podróżni mogli natrafić na bezwodną pustynię lub co gorzej, na rozległe obszary skrubu, zginąć bez ratunku lub też, w razie szczęśliwym, znaleźć względnie żyzne okolice na zachodzie, przebyć je forsownym marszem pieszo i dostać się do siedzib ludzkich.

Dugan nie taił wcale, że plan taki nie był na niczem oparty; owszem, oświadczył towarzyszom, że podług relacji licznych podróżników, którzy przeszli się w poprzek łądu, z zachodu na wschód lub odwrotnie, w kierunku przezeń obranym leżą w samej rzeczy jałowe pustynie. Linja telegraficzna bieży środkiem skrubu, wydm i skalistych wyniosłości; lecz posuwając się wzdłuż niej na południe, można dosięgnąć jednej z rzadko rozrzuconych stacyi.

Najtrudniejszym zadaniem było przedostać się przez grotty otaczające jezioro. Dugan słusznie przypuszczał, że przybór załał je zupełnie i uczynił nieprzebytemi.

Przyczyny niespodziewanego zjawiska podróżnik nasz upatrywał w deszczach, spadłych w okolicach źródeł rzeki.

W porze suchej, arterya ta toczyła nieznaczną ilość wody, którą pochłaniały grube warstwy piasku; silne ulewy podniosły nagle jej poziom; wielka masa wód, nie mogąc już wsiąknąć, wypełniła łożysko jeziora.

W Australii takie nagłe wezbrania rzek w skutek gwałtownych deszczów, są zdarzeniem bardzo pospolitem w zimie, kiedy upusty niebieskie otwierają się i wylewają na ziemię w krótkim przeciągu czasu olbrzymie masy wody. W podróżach swych Dugan nieraz już był zaskoczony taką powodzią i jeżeli nie utonął, to tylko dzięki wysokości swego wielbłąda, lub blizkiemu sąsiedztwu jakiej wypukłości gruntu, na którą udało mu się schronić.

Innego wytłomaczenia niepodobna było przyjąć. Doktorowi i Jerzemu wydało się ono bardzo trudnem, Tom

atoli utrzymywał, że sprawcą katastrofy są złe duchy, strzegące skarbów, zawartych w placerze i w żaden sposób nie chciał uwierzyć w realne wyjaśnienie powodów zjawiska, które tak boleśnie go dotknęło.

— Musimy najprzód wydostać starego, — rzekł; — siedzi on pewnie gdzie na skale ze złotem ocalonem i czeka wybawienia.

— Tak, tak! — potakiwał Jerzy; — zapomnieliśmy o Bobie, a on, biedak, znajduje się niezawodnie w bardzo smutnem położeniu.

— Jakże się do niego dostać? — zagadnął Dugan.

— A ot, mamy tu kilka pięknych drzew, z których będzie niczego trawia, — odparł pastuch, wskazując na grupę wyniosłych araukaryi, rosnących na środku wysepki.

— Przyznaję, że mi to nie przyszło do głowy. Czekajcie-no, a gdyby tak na tratwie przepawić się przez zalaną krainę filarów? Co?

— Brawo Tom! Wpadłeś na doskonały pomysł, — zawołał Jerzy.

— Sądzę, — mówił dalej Dugan, — że wysoki stan wody na rzece pozwoliłby nam użyć jej za wygodną drogę, któraby doprowadziła nas aż do gór. Ponieważ jednak zamierzamy udać się w innym kierunku, przeto wylądujemy, skoro tylko pozostawimy za sobą labirynt grot, otaczających jezioro.

Tom, podniecony nadzieją odzyskania części zatopionych skarbów, powalił natychmiast, przy pomocy Jerzego, trzy wysokie i grube araukarye, oraz jeden eukaliptus, obciął je z gałęzi i przystąpił do wiązania z pni tratwy.

Ta robota potrwała do południa następnego dnia. Statek był wprawdzie nieco za wązki a przydługi, lecz ostatecznie mógł z łatwością udźwignąć wszystkich członków wyprawy. Jako wiosła posłużyły duże gałęzie, ster zaś sporządzono z młodego eukaliptusa.

O drugiej podróży odbili od brzegu i wypłynęli na obszerne, drzemające spokojnie wody jeziora, kierując się na wschód.

Żegluga odbywała się zupełnie bezpiecznie, gdyż powietrze było zupełnie ciche, i stosunkowo dosyć szybko. Robiono mniej więcej 3 kilometry na godzinę, bez zbytecznego zmęczenia.

(d. n.)

W DZIEŃ ZADUSZNY.

W mglisty dzień listopadowy, dzień poświęcony pamięci zmarłych, drogą prowadzącą na cmentarz miasteczka X., jechł powóz, w którym znajdowały się dwie osoby: starszych lat kobieta, o włosach przypruszonych siwizną i surowym wyrazie twarzy, obok niej młodzianka czternastoletnia dziewczynka. Obiedwie były smutne i milczące. Dzieweczka zwłaszcza ubrana w grubą żałobę, miała w swej bladej twarzyczce wyraz cierpienia, oczy jej co chwila zachodziły łzami, usta zaciskały się nerwowo, jak gdyby z obawy, żeby nie wydać jęku rozpacz. Panowała nad sobą, ale ta walka wewnętrzna ujawniała się na zewnątrz. W jednej ręce trzymała bukiet ze świeżych róż pasowych i fiołków, drugą przytrzymywała leżący na kolanach wieniec, z suchych liści uwity.

Powóz w tej chwili wjechał na dość wysoką górę i konie zwolniły biegu.

— Macieju, czy daleko jeszcze do cmentarza? — zapytała dziewczę, zwracając się do stangreta.

— Zaraz, panienko, zaraz zajedziemy — odparł stary sługa, popędzając siwki; — jak tylko zjedziemy z tej górki. Ot! nawet widać już krzyże, niech panienka spojrz!

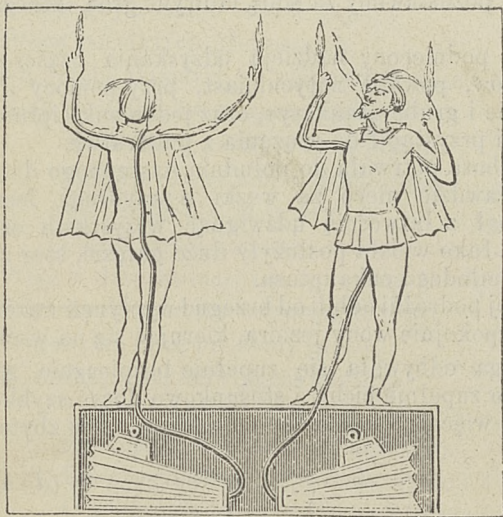
Helenka zwróciła się we wskazanym jej kierunku i rzeczywiście dojrzała jakieś wysmukłe cienie, oświetlone mdłym światłem; były to pewnie pomniki, na które padał odblask palących się u ich stóp lampek.

Serce dziewczynki zabiło gwałtownie pod wpływem ogarniającego ją wzruszenia. Za chwilę więc zobaczy nareszcie grób ukochanej mateczki, z którą przed tygodniem rozstała się na zawsze. Kilka dni zaledwie upłynęło od chwili, kiedy poraz ostatni spojrzała na drogie rysy, kiedy przemocą oderwano ją na pół przytomną od trumny, a jednak zdaje się, że to całe wieki!

Nie była na pogrzebie, gdyż rozchorowała się i musiano położyć ją do łóżka, ale teraz już zdrowa, więc ciotka na wielkie prośby dziewczęcia pozwoliła jej pojechać z sobą, by w dzień zaduszny świeżą mogiłę obsypać kwiatami.

Lecz oto już cmentarz. Powóz zatrzymał się przed bramą, Helenka szybko zeskoczyła, pomogła cioci przy wysiadaniu i poszła naprzód. Po chwili znalazła się wśród mnóstwa ludzi, grobów, pomników, ustrojonych w zieleń i oświetlonych różnokolorowymi lampkami. Teraz dopiero przypomniała sobie, że nie wie gdzie leży jej matka, że trzeba wrócić do cioci i poprosić ją o objaśnienie.

— Ciociu, gdzie to mogiła mamusi — zapytała z odcieniem niecierpliwości w głosie, gdyż opiekunka jej szła wolno i trzeba było na nią kilka minut czekać.



Wyjaśnienie sztuki kuglarskiej.

— Skręć na lewo i zatrzymaj się pod wysokim białym krzyżem. Zresztą zaczekaj, pójdziemy razem — rzekła ciotka.

Lecz dziewczynka nie słuchała już słów ostatnich i jak na skrzydłach pobiegła we wskazanym kierunku.

Miłość i tęsknota nieprzepartą siłą ciągnęły ją do tego miejsca, gdzie snem wiecznym spoczywała matka.

Nie potrzebowała go długo szukać. Oto już widać świeżo usypaną mogiłę, nad którą brzozy szumią zcicha, jak gdyby szeptały pacierze i krzyż biały wyciąga swe ramiona.

Helenka z płaczem upadła pod jego stopy.

— Przychodzę do ciebie, przychodzę nareszcie, mateczko jedyna — mówiła półgłosem, łkając. — Smutno mi, oh! smutno strasznie! Nie mam już nikogo na świecie... Nikt tak kochać mię nie będzie... Władzio i Zosia polecili cię ucałować. Oni nie rozumieją, gdzie jesteś, widzieli tylko, że wiozę dla ciebie kwiaty... Są bardzo grzeczni, lecz cóż mię może obchodzić, gdy ciebie niema?...

Dziewczynka pochylona nad mogiłą miała złudzenie, że rozmawia z matką i przynosiło to jej pewną ulgę. Ciotka szanując jej boleść chciała ją zostawić samą, stanęła więc nieco w oddali, obejmując wzrokiem współczucia pochyloną postać dziewczęcia.

— Czy podobają ci się te kwiatki — brzmiał dalej szept pod krzyżem — wszak lubiłaś róże i fiołki?... A ten wieniec sama uwiłam, tak jak mię uczyłaś niegdyś... Mamu, gdzie jesteś, czy mię widzisz, czy czujesz co ja cierpię?

Może kiedyś, w niebiesiech, duch matki słyszał to pytanie dziecka, może chwile spokoju i szczęścia, doznawanego wśród światłości wiekuistej zamąciły mu te skargi zbolęłej duszyczki; lecz tu na ziemi nikt ich nie odczuł.

Dokoła panuje cisza. Gromadki osób modlą się przy grobach w skupieniu, pomniki i krzyże wznoszą się ponad tym tłumem cierpiących, jak gdyby z żalu nad nimi skamieniałe, chłodne, marmurowe...

Brzozy i srebrne topole szemrzają łagodnie, na niebie zabłysły gwiazdy.

Spłakana i drżąca sierota klęczała ciągle na chłodnej mogile, nie mogąc żadnej ulgi znaleźć w swem cierpieniu.

Możemy łatwo zrozumieć boleść Helenki, gdy się dowiemy, że była najukochańszą córką i nawzajem matkę kochała nad życie. Ojciec jej umarł przed pięcioma laty, widywała go rzadko, gdyż był chorowity i większą część czasu spędzał za granicą, więc i dziewczynka odwykła od niego. Miłość dla matki wypełniała za to całe jej serduszek. Miała wprawdzie rodzeństwo, 7 letnią Zosię i 6 letniego Władzia, ale w tej chwili ona o nich zapominała. Pamiętała tylko, że śmierć nieubłagana, prawie nagle, po kilkodniowej chorobie, zabrała na własność ukochaną matkę; że zamknęła na zawsze wielkie, łagodne oczy, które z taką miłością patrzyły na córkę i na drodze usta położyła pieczęć wieczystego milczenia.

Jest jej źle, bardzo źle na świecie! U ciotki, mało znanej, która wzięła dzieci do siebie, nie może znaleźć ani częsteczki tego ciepła, jakim ją matczyne serce ogrzewało. Wrodzona skrytość nie pozwala jej otworzyć zbolęłej duszyczki przed nikim; czuje się bardzo nieszczęśliwą, opuszczoną...

— POCO ja teraz żyć będę? Dla kogo? Wszystko się dla mnie skończyło, nie mam żadnego celu przed sobą. Boże! pozwól mi umrzeć, pozwól opuścić tę ziemię, z którą nie mogę być związana...

— Czyż nie?... — odezwał się naraz jakiś głos wewnętrzny, wychodzący kiedyś, z najgłębszych tajników duszy dziewczynki. Jednocześnie, przesunęły się przed jej wyobraźnią jasne główki Władzia i Zosi, o których dotąd nie troszczyła się wcale. Tymczasem głos ten coraz wyraźniej powstaje przeciw zuchwałemu żądaniu śmierci; Helenka z początku zdumiona, pojmując teraz, że to głos jej sumienia woła:

— Nie wolno ci umierać, bo masz rodzeństwo, dla którego żyć powinnaś!

Tak, to prawda, że wraz ze śmiercią matki otworzyły się dla niej nowe obowiązki. Wprawdzie Władzio i Zosia znajdowali się, podobnie jak ona, pod opieką ciotki; ale była to osoba starsza, która z dziećmi małymi nigdy nie mając do czynienia, nie mogła wychowankom swoim dać ani serca, ani troskliwości, do jakiej dotąd byli przyzwyczajeni. Do Helenki należy teraz, zastąpić im choć w części matkę i miłością swoją opromienić pierwsze lata sieroctwa.

— Boże! dzięki ci za dobre natchnienie! — szepcze dziewczę — w uczuciu wdzięczności. Znajdę cel życia, a duch twój, mateczko, z pewnością mi pobłogosławi.

W żywej swej wyobraźni widzi się już odtąd w towarzystwie brata i siostry. Będzie je uczyć, rozwijać te jasne główki, wpajać w nie poczucia dobra i piękna, powie, jak mają kochać Boga, ziemię swoją i ludzi...

Helenka czuje się pokrzepioną. Wznosi z ufnością oczy do góry i patrzy w gwiazdy, jakby je chciała wziąć za świadków swego przyrzeczenia. Jak to dobrze, że przyjechała dzisiaj na cmentarz! Nie darmo wyrwała się tak z łóżka, nie darmo przeczuje jakieś mówiło jej, że tu znajdzie pociechę. I oto powiał na nią prąd ciepły, serdeczny, roztajało w niej serce, rozbudziło się poczucie obowiązku. Nigdy tak wyraźnie nie czuła obecności swej matki; czuje ją nie tylko dokoła siebie, ale i w sobie. Odtwarza sobie wszystkie chwile z nią spędzone, gdy małą jeszcze będąc, siedziała u jej nóg na małym stołeczku, słuchając słów dobrych i rozsądnych. Z biegiem czasu rozmowy te stawały się dłuższe i poważniejsze. Matka mówiła jej nieraz, że cierpienie jest



Rajskie ptaki.

krwawym chrztem, który powinien duszę młodą oczyszczać i hartować, a nie łamać; że w smutku nie należy rąk opuszczać, lecz w pracy szukać nań lekarstwa i starać się w całym życiu dobro drugich nad swoje własne przekładać.

Helenka w tej chwili dopiero słowa matki rozumie w całej ich rozciągłości. Ogarnia ją dziwna błogość, chciałaby tu klęczeć bez końca, bo czuje, że z mogiły tej wieje jakaś siła i sływa na nią moc duchowa...

Zwraca oczy na krzyż i zdaje się jej, że zmienia swo-

je kształty, że ramiona przeobrażają się w skrzydła i z całej postaci, podobnej raczej do anioła, bije jakaś światłość...

Wyobraźnia jej podsuwa zmysłom nowe zjawisko. W tem uczuwa na swoim ramieniu dotknięcie czyjejś ręki. To ciotka, troskliwa o zdrowie dziewczynki, zachęca ją do powrotu.

— Już późno, droga zła, czas nam jechać!

Helenka budzi się jakby z letargu, patrzy to na ciotkę, to na krzyż, wreszcie zrozumiałwszy o co chodzi, wstaje zwol-

na, ogarniając ostatniem spojrzeniem ukochaną mogiłę. Wolnym, lecz pewnym krokiem podąża za ciotką i wsiada do powozu, który za chwilę uniesie ją od umarłych, by zbliżyć do żyjących i pracy nad nimi.

Gdy spojrzała w górę, w jej oczach były gwiazdy, i nic dziwnego, bo oczy są zwierciadłem duszy, a w duszyczce Helenki w tej chwili było niebo...

Ludwika K.

KRAJ BEZ NIEDZIELI.

Kto z czytelników naszych zna kraj, w którym siódmy dzień tygodnia, jest na równi z innymi, dniem pracy, w którym ludzie nie znają wypoczynku europejskiego, tej niedzieli obrócone częścią na dłuższą modlitwę, częścią na zabawę? Wątpię, by który z nich kraj ów zwiedził, wiem jednak dobrze, że wszyscy znają go z geografii, i z opowiadań o mandarynach, o żółtej rzece, wreszcie o dziwnych potrawach, które tam jadają.

Teraz nie potrzebuję już chyba wymieniać nazwy kraju, gdzie mieszkańcy nie znają niedzieli.

Nie należy złąd wnosić, by przez całe trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku, bez żadnej przerwy oddawali się swoim zajęciom.

Chińczycy mają wiele bardzo świąt, które obchodzą uroczyście, obchodzą też pamiątki niektórych faktów, które nie są znów tak świetne, aby je miano rok rocznie wspominać. Do takich pamiątek, jednej z tych, które najwięcej może zasługują na uznanie należy święto, Smoczych łodzi, albo jeśli kto woli, Łodzi smoków.

Za bardzo dawnych czasów, panował w Chinach niesprawiedliwy i niedobry król Ts'u; Kū-Yuan był jego ministrem. Oburzony postępkami swego władcy, zaczął rozgłaszać je wszędzie, przez co stracił swoje stanowisko i popadł w zupełną niełaskę. Za karę oddalony z dworu Kū-Yuan napisał cały szereg satyr na króla, a ten czyn sprowadził na niego takie prześladowanie, że utopił się z rozpacz w rzece Milo. Jakiś rybak pragnął go wyratować, lecz zapóźno przybył z pomocą, i Ku-Yuan zginął.

Odtąd rocznicę jego śmierci, w całych Chinach uroczyście obchodzą. Odbywają się przytem wyścigi wodne na łodziach, z których każdą zdobi z drzewa wyciosana smocza głowa. Łodzie te są nadzwyczaj długie, tak, że na jednej siedzi pięćdziesięciu wiosłarzy parami; na przodzie łodzi stoi człowiek, trzymający w jednej ręce chorągiew, drugą ręką sypie na wodę ryż, który ma oddalać złe duchy. Pośrodku łodzi dowódzca załogi uderzeniami w bęben nadaje tempo poruszeniom wiosł. Tempo z początku powolne, staje się coraz szybszem, a przy mecie panuje niesłychany hałas, na który składają się okrzyki wiosłarzy i publiczności zalegającej brzegi. Zwycięzcom rozdają nagrody, przyczem wybuchają nieraz bójk na pięście i parasole między zwycięzcami a zwyciężonymi.

Największe hołdy odbiera od Chińczyków bożek bogactwa. W dzień święta tego bożka, kto tylko pragnie zaszkarbić sobie jego łaski, składa mu ofiary z mięsiwa, owoców, i przeróżnych przedmiotów; cały posąg otaczają stopy ofiar.

Następnie, kto chce udaje się na plac targowy, gdzie odbywa się zabobonna uroczystość armaty. Drewniana, wielka armata, lekko prochem nabita stoi luźno do góry; lufę przykrywa trzcinowy krążek, zapalony proch wyrzuca go w górę; wtedy cały tłum rzuca się w stronę lecącego krążka, bo kto go pochwyci, ten z pewnością w ciągu roku stanie się bogatym. Łatwo możemy sobie wyobrazić, jaki hałas, ruch i bijatyka panuje, zanim kto ostatecznie krążek pochwyci. Przepowiednia wkrótce sprawdza się częściowo, gdyż zwy-

cięzca nieraz pokryty sińcami, w poszarpanej odzieży, przez cały dzień przyjmuje dary, które mu znoszą wszyscy mieszkańcy danej wioski lub miasta i to przy bardzo hałaśliwej muzyce.

Już to Chińczycy niezmierznie lubią muzykę, chociaż nie wybredzają wcale ani w wyborze instrumentów ani w melodii. Gołębiom naprzykład przyczepiają lekkie gwizdawki, które odzywają się podczas lotu ptaków różnemi tonami,

Na wiosnę i na jesień w Niebieskiem Państwie obchodzą święto umarłych. Chińczycy wierzą w nieśmiertelność duszy, i wielką czcią otaczają pamięć nieboszczyków, więc cmentarze, i nagrobki oczyszczają i stroją przez rok cały. Wyobrażają też sobie, że człowiek ma trzy dusze. Jedna ulatuje z ziemi po śmierci człowieka, druga pozostaje w mogile wraz z ciałem, trzecia zaś znajduje się w samym nagrobku.

Podczas Święta umarłych, każdy pamięta o nieboszczykach swoich, przynosi im jedzenie, oprócz tego składa dziwaczne dary bogini śmierci: jako to: wino, dwie świece i pieniądze papierowy. Trudno zrozumieć, na co ziemskie pieniądze przydać się mogą bożkom? Po odwiedzeniu zmarłych wszyscy mężczyźni gromadzą się z rodzinami w Sali Przodków i tam zjadają wspólnie skromną, bo zawsze tylko z trzech potraw złożoną ucztę; pierwsze danie: pasztet z wieprzowiny, kapusty i krabów; drugie gęś: pieczona nadziana czekoladą; trzecie: ryż.

Za wiele czasu i miejsca zabrałby nam opis wszystkich świąt chińskich. Te święta są dniami odpoczynku i zabawy, której potrzebuje najbardziej pracowity człowiek; dodajmy też, że najlepiej bawią się z pewnością ci, którzy najinniej próżnują.

A. M.

RAJSKIE PTAKI.

Znamy już kilkadziesiąt rodzajów rajskich ptaków, tych ślicznych stworzeń wabiących oko przepyszną barwą upierzenia. Nasza rycina przedstawia dwa, nieznane dotąd ich okazy. Spójrzmy na to stworzenie, ozdobione dwoma długimi, bardzo długimi piórami. Szczególnie to pióra! twarde, łuskowate, raz do roku wyrastają na głowie ptaka, by odpaść po kilku tygodniach, i ukazać się znowu w następnym roku. Zatem przez ciąg wielu miesięcy, nasz nowy znajomy nie różni się prawie upierzeniem od reszty rajskich ptaków. Czarno-brunatny, jaśnieje tylko na nim złoto-żółte pokrycie gardziółka. Kto wie jednak czy nie wolałby pozostać takim całe życie, krótkotrwała ozdoba jego, do wygodnych nie należy wcale, gdyż jest stosunkowo dość ciężką. Ptak może nią jednak poruszać w różnych kierunkach, podnosić w górę lub muskać tego czubatego towarzysza, którego widzimy poniżej na rycinie. To także świeżo odkryta odmiana rajskich ptaków. Tutaj widzimy znów śliczną grę kolorów; gardziółko świeci metalicznym blaskiem piór łuskowatych; barwy: szafirowa i fioletowa dają tu ciekawe i pyszne odcienia, piękniejsze może od złota i zieleni, lśniących na ozdobach jego towarzysza. Nie dość tego; głowę pokrywa morderowa czapeczka, otoczona z boku jakby stojącą frendzlą srebrzystą, a z czapeczki strzela sześć metalicznych piórek. Upierzenie ciała czarne, tą miękką czernią, którą posiada aksamit, a na tem tle doskonale odbijają purpurowe pióra skrzydeł.

Gdzież żyją te piękne, błyskotliwe stworzenia?

— Pod palącemi promieniami podzwrotnikowego słońca, odpowiedzą zapewne nasi czytelnicy, którzy wiedzą już, że rajskim ptakom do życia potrzeba koniecznie gorąca.

A my dodamy, że ojczyzną ich jest Nowa Gwinea.

WYJAŚNIENIE SZTUKI KUGLARSKIEJ.

Dla czytelników którzy w 29 numerze Wieczorów oglądali ze zdumieniem postacie ludzi ziejących ogniem, nie będzie zapewne obojętnem, bliższe wyjaśnienie tajemnicy, za pomocą której, wywołują oni takie wrażenie.

Otóż rzekomi ci szatani, poprzystrajani w jaskrawe suknie, dają zwykle swe przedstawienia na wysokiej skrzyni, stanowiącej dla nich estradę, czyli podwyższenie. Piękny pokrywający ją dywan, czyni najzupełnijszem to złudzenie. Tymczasem owa estrada, nie jest niczem innem, jak tylko rzeczywistym źródłem ognia, którego nasi kuglarze, nie zieją z siebie, ani też polykają. Mieści ona wewnątrz worki kauczukowe napełnione gazem oświetlającym, pościągane nieco, za pomocą nałożonych ciężarków. Każdy ze sztukmistrzów posiada w obcasie swego obuwia sztuczny przyrząd, służący do przepuszczania gazu. Przyrząd ten pozostaje w związku z cieniuchną rurką, niedostrzegalną dla widzów, z powodu tejże samej barwy co odzienie kuglarzy. Rurka ta przeprowadzona przez ich plecy, ciągnie się ku ramionom, przerzyna drugą jeszcze cieńszą, koloru ciała, biegnącą ku rękom, i tam dopiero kończy się pod wskazującym palcem, z którym się styka za pomocą otworu ukrytego pod paznokciem. Skoro kuglarz naciśnie nogą, przyrząd ukryty w obcasie a połączony z workami napełnionymi gazem, wówczas gaz przechodzi do rurek powyżej opisanych. Kuglarz zapala go, naciskając wolną ręką guzik elektrycznego przyrządu, ukrytego pod płaszczykiem; posiada on na szyi, oraz poniżej podbródka drugą rurkę gazową, koloru ciała, sięgającą do dolnej wargi, przez tę rurkę gaz przechodzi, zapalając się raz jeszcze od iskry elektrycznej. Ogień zdaje się wychodzić przez usta, ten wyraźniej, ponieważ kuglarz dla utrzymania złudzenia, otwiera je jak najszerzej, pochylając głowę nieco ku tyłowi.

Ludzie ci, dają zwykle swe przedstawienia na scenie możliwie ciemnej, dla ukrycia w oczach widzów, opisanych wyżej rurek kauczukowych, na których polega tajemnica ich sztuki.

CUDOWNA WYSPA

Najnowsza powieść Juliusza Verne'a

przekład M. D

(Ciąg dalszy).

— Mam nadzieję — rzekł Yvernes — iż trudy nasze zbliżają się do końca.

— Tak przynajmniej zdawaćby się mogło, chyba, że parowiec, jak druga arka Noego, zawierała wszystkie zwierzęta ziemi naszej — odpowiedział Ponchard.

Że jednak fakt podobny byłby zupełnem niepodobieństwem, przeto Atanazy Doremus, odważył się nareszcie powrócić do swego domu, gdzie stara jego sługa opłakiwała już niedługo śmierć swego pana.

Po spokojniejszej znacznie nocy, w czasie której pojedyncze tylko złowrogie głosy dały się słyszeć w stronie portu Babor-Harbour, nowa naganka urządzoną została, a wkrótce rezultatem jej była śmierć trzynastu sztuk drapieżników, które jednak walcząc o swe życie, zdążyły pokaleczyć niebezpiecznie dwóch najodważniejszych milicyantów.

Przeszedłszy jeszcze wyspę w różnych kierunkach, powni, że nieprzyjaciół został już doszczętnie wyniszczony,

wracają: Cyrus Bikerstaff, Jem i Walter Tankerdon, Nat Coverley i jego adjunkci oraz cały oddział milicyi do ratusza, gdzie zebrana rada oczekiwała sprawozdań z odbytych czynności. Lecz skoro znajdują się w odległości zaledwie stu kroków od wspomnianego gmachu, gdy nagle okrzyki przerażenia rozlegają się w okóło, a idący ulicą Pierwszą ludzie, uciekają w najwyższym popłochu. Na widok ten gubernator, komandor i całe towarzystwo przybiega do bramy, którą mimo rozkazu zamknięcia, niewytłómaczonym jakimś sposobem zastają otwartą; niema więc wątpliwości, iż dzięki jakieś zwierzę, może już ostatnie z całego transportu parowca, dostało się w obręb miasta.

Dla sprawdzenia wypadku Nat Coverley i Walter Tankerdon przybywają na skwer ratusza, lecz zanim zdołali rozejrzeć się w okóło, gdy nagle o trzy kroki od Coverleya; Walter powalony zostaje przez olbrzymiego tygrysa, który z wściekłością skacze na niego.

Nie mając czasu nabić strzelby, Nat Coverley dobywa z za pasa nóż wyśliwski i rzuca się na zwierzę w chwili, gdy pazury jego szarpały już ramię napadniętego. Położenie jednak jest tak fatalnem, że cios zadany nożem nie powala odrazu rozszalałego tygrysa, który podrażniony jeszcze więcej otrzymaną raną, zboczony własną krwią, z rozwartą paszczą a iskrzącymi oczyma, opuszcza pierwszą swą ofiarę i skacze na Coverleya.

W tej groźnej chwili, wśród ciszy oniemiałych z przerażenia obecnych, rozlega się jeden strzał za drugim.

To Jem Tankerdon nie tracąc zwykłej sobie przytomności daje ognia ze swej dubeltówki.

Obłok dymu zasłonił pole walki, lecz straszny ryk zwierzęcia oznajmia wszystkim, że druga kula musiała mu zadać cios śmiertelny!

Równocześnie kilku towarzyszy pośpieszyło na pomoc napadniętym, i gdy jedni cucha zemdlącego z zakrwawionem ramieniem Waltera, drudzy pomagają usiłującemu powstać o własnej sile Coverleyowi, który nie będąc rannym, wkrótce odzyskuje równowagę umysłu, a zbliżając się do Jem Tankerdona podając mu rękę:

— Ocaliłeś mię pan — rzekł głosem poważnym — dziękuję!

— Panu zawdzięczam życie syna — odpowiada Tankerdon — dziękuję!

I ręce obydwóch wrogich sobie przez długi czas rywali, splotyły się na dłuższą chwilę w uścisku nieklamanej wdzięczności, od której jeden krok już tylko do szczerej przyjaźni.

Zebrani w okóło młodego Waltera przyjaciele, przenoszą go spiesźnie do domu przy Dziewiętnastej ulicy, gdzie go oddają troskliwej opiece lekarza i rodziny; Nat Coverley tymczasem wspierając się na ramieniu prezydenta, zdąża powoli w stronę swego pałacu.

Nad pozostałym na placu wypadku tygrysem, urządzili zebrani miliardowicze z Kalikstusem Munbarem na czele, iż wypelane zwierzę umieszczone zostanie w muzeum miejskiem z podpisem:

„Dar od Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii dla wdzięcznej za ten dowód pamięci Standard-Island.”

W przypuszczeniu, iż zamach ten cały był dziełem rąk Anglików, trudno zaprzeczyć, aby zemsta podobna pozbawioną była pewnej dozy gryzącego dowcipu. Takie też jest zdanie Poncharda, szczególniego znawcy w tych kwestyach.

Czyniąc zadość wymaganiom form, a może i potrzebie serca, pani Tankerdon spieszy tegoż dnia jeszcze złożyć wizytę pani Coverley, dziękując za przysługę oddaną synowi przez jej męża; w zamian też znowu pani Coverley uważa za konieczne dziękować w domu Tankerdonów za pomoc jakiej doznał jej mąż w chwili tak wielkiego niebezpieczeństwa, gdy znajdował się pod pazurami tygrysa; a miss Dyana, która towarzyszyła matce dopytywała się z wielkiem współczuciem o stan zdrowia rannego.

Ponieważ w samej rzeczy, w ostatniej walce legło ostatnie zwierzę drapieżne, dopełniając ogólnej liczby pięć-

dziesięciu pięciu z tych, które tak niespodzianie znalazły się na gruncie Cudownej wyspy, przeto spokojniejszy już o życie jej mieszkańców komandor Simoe, kazał znowu wprowadzić w ruch obie śruby maszyn elektrycznych, które podczas niebezpiecznych trzydniowych łowów zostawały bezczynne; Standard-Island więc posuwała się znów spokojnie po niezmiernych przestrzeniach Oceanu.

WYSPY FIDŻI.

— Więc ile ma ich być wszystkich razem? — pyta Ponchard.

— Dwieście pięćdziesiąt pięć — odpowiada Francolin — licząc już naturalnie większe wyspy i małe tylko wysepki.

— Cóż nas to jednak obchodzić może, skoro nasz „klejnot” niema zatrzymywać się przy każdej z tych ziem — sprzeciwiał się Ponchard.

— Widzę, że geografia pozostanie ci zawsze obcą nauką — odcina się Francolin.

— Jedynie dla tego, że ty uprawiasz ją znowu zbyt gorliwie — brzmi złośliwa odpowiedź jego ekscelencji.

Z większem zaskakaniem zajęciem przysłuchiwał się objaśnieniom drugiego skrzypka małowomny zawsze wiolonczelista, co więcej, pozwolił się zaprowadzić przed wywieszoną w sali casina kartę, na której codziennie znaczone punktami drogę odbywaną przez Cudowną wyspę.

Droga ta tworzy na oceanie linię przypominającą literę S, której dolny zakręt kończyć miał właśnie archipelag Fidżi, do którego podążała Standard-Island.

Wyspy te odkryte przez Tasmana w 1643 roku, ciągną się między 16 a 20 równoleżnikami i 174 i 176 południkami — objaśnia Francolin.

— Więc to nasz olbrzym ma płynąć między temi setkami kamyków? — pyta zdumiony Sebastian.

— Tak jest przyjacielu i jeżeli popatrzysz uważnie...

— Patrzę i słucham...

— Ostrożnie, by znowu nie zabrzęczała złośliwa osa — wtrąca Ponchard.

— Cóż znowu, jaka osa? — pyta Francolin.

— Ta sama co zwykła krążyć koło nosa Vaillanta — odpowiada niestrudzony żartowniś.

Wiolonczelista zwróciwszy pogardliwe spojrzenie w stronę atakującego:

— Cóż więc chciałeś mi wyjaśnić — zapytał drugiego skrzypka.

— To właśnie, że aby dopłynąć do tych dwóch największych ziem Vita Levu i Vanu Levu mamy do wyboru trzy przejścia...

— A wszystkie trzy zaprowadzą nas na dno morza — przerywa Sebastian. Już ja mówię, że to wszystko źle zakończyć się musi! Bo czyż słyszał kto na świecie o podróżach takiego miasta jak Miliard-City wraz z tylu jego mieszkańcami! Nie, zaprawdę rzeczy takie są przeciwne samej naturze, samej nawet woli Boga!

— O-o-o już brzęczy osa Vaillanta! — zawołał tryumfując Ponchard.

Jeżeli jednak rzeczywiście ta część oceanu przedstawia

pewne trudności w żegludze, to dzięki dokładnym kartom, na które złożyli się: Cook, Wilson, Dumont, d'Urville, Wilkens, kapitan Durham i tylu innych zdolnych żeglarzy, komandor Simoe zapuszcza się ze swą pływającą wyspą w najcięższe przejścia, podążając do wewnętrznego morza „Koro”, którego wody przypominają gładką powierzchnię jakiegoś olbrzymiego jeziora tak są wolne od bałwanów i wszelkiego wpływu burz szalejących czasem na pełni oceanu.

Nikt też z podróżnych nie troszczył się o jakiekolwiek niebezpieczeństwo w tym względzie, natomiast wielu niepokoiło się przypuszczeniem, czy czasem wśród lasków nie zdołało się ukryć jakie drapieżne zwierzę, lub czy parowiec angielski nie zostawił im też w upomniku jadowitych węzów, jak to miało miejsce na Martynice.

Tchórzliwsi nawet, nie tylko, że nie ośmielają się jeszcze na dalsze spacer, ale nawet wyznaczają wysoką nagrodę temu, kto przedstawi choć jeden okaz zabitego płaza.

Mimo jednak licznych polowań i skrupulatnych poszukiwań nie znaleziono już nic, co by mogło narazić na jakiekolwiek niebezpieczeństwo mieszkańców Cudownej wyspy.

Tymczasem najwidoczniejszym rezultatem ostatnich wypadków jest stanowcze pojednanie obydwóch partyi i przewodniczących im rodzin; wkrótce też rozeszła się po mieście wiadomość pewna, iż Nat Coverley zgodził się na małżeństwo swej córki Dyany z Walterem Tankerdon. Oczywiście kwestya posagowa nie przedstawiała żadnych trudności do omówienia, gdy obiedwie strony dają swym dzieciom po 200 milionów posagu.

— Co tu mówić! — zauważył Ponchard — biedacy ci nie umrą z głodu nawet w Europie!

Radosna wieść o projektowanych zaślubinach wywołuje ze wszystkich stron liczne powinszowania; Cyrus Bikerstaff nie stara się ukryć wysokiego swego zadowolenia w obec faktu, dającego mu wszelkie zapewnienie spokoju i zgody wśród mieszkańców powierzonego mu grodu.

Spieszą też złożyć swe życzenia oboje królestwo Malekarii, a karty wizytowe drukowane złotem na blaszkach aluminiowych zapełniają codziennie skrzynki do listów obu pałaców. Oczywiście kroniki pism miejscowych niestrudzone są w podawaniu coraz to nowych szczegółów o gotujących się uroczystościach wspanialszych od wszystkich, jakie się kiedykolwiek odbyły na kuli ziemskiej.

Drogą telegraficzną, za pomocą lin podwodnych, załatwiają się liczne obstalunki do wyprawy panny młodej. Najpierwsze magazyny w Paryżu, najslawniejsi fabrykanci biżuterii, najbogatsi dostawcy futer syberyjskich, najrzęczniejsze koronczarki w Belgii, otrzymują zamówienia bez ograniczeń ceny, na najlepsze przedmioty swego handlu i przemysłu.

Specjalny więc parowiec z Marsylii drogą przez Suez i Ocean Indyjski, ma przywieźć wszystkie te cuda zrzeczności, bogactwa i gustu na dzień ślubu oznaczony na 27 lutego. Naturalnie kupcy i dostawcy w Miliard-City mają także zapewnioną znaczną część zarobku, i ani wątpić można, że zdarza im się sposobność podwojenia swych fortun.

(d. c. n.)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: W dniu zadusznym, wiersz p. E. L. (z drzew.) — W pustyniach Australii, przez Władysława Umińskiego. — W dzień zadusznym p. Ludwikę K. — Kraj bez niedzieli p. A. M. — Rajskie ptaki (z drzew.) — Wyjaśnienie sztuki kuglarskiej (z drzew.) — Cudowna wyspa, najnowsza powieść Juliusza Verne'a, przekład p. M. D. Dodatek: Przez pamięć siostrzyczki p. K. B. S. (z drzew.) — Dzielny chłopiec, wiersz p. Zofię Mrozowicką. — Baśń o białym gołąbku i wielkim kamieniu przy cementarnych wrotach p. Z. Morawską. — Bajka Agaty. — Łamigłówki i rozwiązania — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Perły ciotki Klotyldy przez autorkę „Małego lorda”, przekład z angielskiego J. K.

Redaktorka **Ludwika Hauke.** Дозволено Цензурою, Варшава 13 Октября 1895 г. Wydawczyni **Marya z Chomętowskich Balińska.**

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

WIECZORY RODZINNE



Boże mój, modliła się przed zaśnięciem...

PRZEZ PAMIĘĆ SIOSTRZYCZKI.

Ośmioletnia Hela po parotygodniowym pobycie u swej ciotki ma wracać do domu.

Tatuz po nią przyjechał; zagna się więc z wujostwem i siostrzyczkami, żał jej trochę tych dobrych towarzyszek zabawy, bo w domu jest jedynaczką, ale nadzieja zobaczenia mamy, osładza jej chwile rozstania. Zresztą tatuz obiecuje jej wielką niespodziankę.

— Ciekawam co to być może — myśli sobie jadąc Hela, może to ptaszek w klatce? może laleczka? nie śmie jednak pytać o to tatusia.

Po półgodzinnej podróży stają wreszcie przed swym białym dworkiem, Hela wyskakuje z powozu i już jest w objęciach mamy.

— Jak to dobrze, że jestem z moją mamusią — woła ucieszona — a gdzie Marcinowa, a moje kurki i króliki, czy zdrowe?

— Marcinowa jest w moim pokoju, idź, zobaczysz tam coś, co cię ucieszy — odpowiada mama, uśmiechając się do córeczki.

Nie trzeba było powtarzać tego Heli dwa razy; zniknęła natychmiast, lecz po chwili wpadła znów zarumieniona.

— Mamusi! jaka ona śliczna, ta moja mała sio-

strzyczka — woła — jaki Bóg dobry, że mi ją dał, jak ja ją kochać będę!

I rzeczywiście kochała Hela swą siostrzyczkę; nie-raz całe godziny spędzała przy niej, a gdy po roku Jania mówić zaczęła i całując Helę szczebiotała:

— Jania kocha Elę, to dziewczynka nie posiadała się z radości.

Bo też Jania śliczną i miłą była: miała takie duże, mądre oczy, loczki ciemne okalały jej drobną twarzyczkę, a różowe usteczka wciąż się uśmiechały.

Pociechą i pieczęcią wszystkich była przez lat trzy, lecz dnia jednego posmutniała i tuląc się do mamusi, skarżyła się że ją główka boli, bardzo boli!

Położono ją do łóżeczka, przyszedł doktor, lecz nie nie pomogły lekarstwa, opieka troskliwa mamusi, modlitwy i płacz Heli, czwartego dnia już jej mała siostrzyczka nie żyła!

Hela nigdy nie zapomni tego dnia smutnego i swej małej Jani. Leżała ona białą ubrana, wśród zieleni i świec jarzących, a śliczne jej oczęta już nazawsze były zamknięte, usteczka zbladły, a rączki takie miała zimne! Potem wyniesiono ją na cmentarz, złożono w grobie i znów Hela była samą! Mama jej była bardzo smutna, tatuz milczący, żał było Heli biednych rodziców, i przez pamięć siostrzyczki postanowiła być dobrą aby ich pocieszyć.

— Boże mój drogi — modliła się przed zaśnięciem — pociesz rodziców, niech Jania choć jest aniołkiem nie zapomina o nas; Boże! daj mi zobaczyć ją w niebie.

I usnęła Hela spłakana i śniło jej się, że widzi Janię wśród grona aniołków, skrzydełka miała bieluchne i uśmiechała się jak dawniej, a schyliwszy się nad łóżeczkiem Heli i objawwszy ją za szyjkę, szeptać poczęła:

— Helu, nie płacz za mną, moja jedyna, bo ja zawsze będę przy tobie, choć mnie widzieć nie możesz, a dla mamusi i tatusia bądź teraz pociechą.

Hela chciała jeszcze dłużej z Janią rozmawiać, lecz ta znikła, a wraz z nią i cały piękny sen. Dziewczyka pamięta go jednak do dzisiaj i wierzy, że Jania jest zawsze przy niej i cieszy się, gdy jest dobrą i posłuszną córeczką.

K. B. S.

Dzielny chłopiec.

Śpiewam sobie wesół

Jak to ptaszę Boże,

Powiedzieć mi ludzie,

Co mnie smucić może?

Gdy skończę naukę
I złożę książeczkę,
Patrzę, w czym wyręczyć
Kochaną mateczkę.

Czy to przynieść wody,
Czy uciosać drzewa,
Lepiej ja potrafię,
Niż się kto spodziewa.

Czasem też i tatuś
Każe pomódz sobie,
To lecę i słucham
I w mig wszystko zrobię.

Wyjdę na ulicę:
Roboty niemało
Znajdzie się tam zawsze,
Jakby mnie czekało.

To dziadka obronić
Przed Burkiem niecnotą,
To Józię maleńką
Trza przenieść przez błoto.

To podnieść bułeczkę
Zgubioną z koszyka,
A słonko mnie miłe
Za wszystko spotyka!

Ja nie wiem doprawdy,
Przez jakie to czary,
Lecz każdy mnie lubi
I młody i stary!

A choć mnie kto z chłopców
Szturchańcem uraczy,
Po dobrej przyjaźni
I to nic nie znaczy.

Ja nie wiem, jak można
Się smucić na świecie!
Toż chyba łzę cudzą
W mem oku znajdziecie.

Gdy widzę, jak płacze
Kaleka, sierota,
I mnie z nim zapłakać
Wraz bierze ochota.

Gdy się smucą w koło,
Śmiać się nie ośmielę,
Tylko proszę Boga:
„Wróć nam, wróć wesele!”

Zofia Mrozowicka.

BASIŃ

O BIAŁYM GOŁĄBKU I WIELKIM KAMIENIU PRZY CMENTARNYCH
WROTACH.

p. Z. MORAWSKĄ.

Do jednej wioski przywędrowało dwoje dzieci; szli oni znać z bardzo daleka, bo na ich poranionych i spalonych od słońca nogach, podarte obuwie poprzywiązywa-

ne było powróśłem ze słomy. Odzienie też mieli tak podarte i tak zniszczone, że nie znać było z jakiego uszyte materiału, ani też jakiego było kiedyś koloru. Mimo to jednak chłopiec stapał z taką pyszną miną, że gdyby kto na niego spojrział, byłby się rozśmiał z tej napuszonej postaci. Gdyby zaś był kogo spotkał, z pewnością nieustąpiłby mu z drogi. Za to jego siostrzyczka miała bardzo pokorną i zbiedzoną minę i zdawało się, że jak tylko silniejszy wiatr powieje, to ją zdmuchnie z drożyny i zanieśie het, daleko na pole.

Ot, zwyczajnie sierota, biedactwo.

— Usiądźmy Michałku i odpocznijmy — prosiła pokornie.

— Cicho Basiuła, odpocznijmy w chacie, gdy nas do wieczery zaproszą — odpowiedział Michałek i podniósłszy głowę, siedł z taką pewnością, jak gdyby rzeczywiście ciepła izba a w niej stół zastawiony na niego czekały.

Droga przez wieś była długa, chaty stały rzędem, ale chociaż to już był czas wieczery z żadnego komina się nie dymiło, ani też przez okna nie widać było ognia na kominie. Chaty stały milczące, ponure, a chociaż to był sierpień, lato w całej pełni, przed żadną z chat nie zieleniał ogródek, nie połyskiwały z za płota brzuchate dynie, nie świeciły w złotej aureoli słoneczniki, nie mrugały modremi oczkami ostrożki, nie nęciły żółte nagietki ani też nie zalatywał zapach żadnego ziela.

Były tam wprawdzie jakieś drzewa tu i tam opodal chat rozrzucone, ale te stały nieruchome, wyciągały tylko rosochate, na poły odarte z liści gałęzie, a wiszący gdzieniegdzie listek był taki sztywny jakby go kto na drucie przyczepił. Przed żadną też chatą pies się nie wylegiwał, nie gdakały kury dopominające się o spoczynek, nie beczała wracająca z paszy krowa lub owieczka, nie zarżał żrebiec wesołym swym śmiechem.

Słowem pusto było, samotnie, jak gdyby mór przeszedł przez wieś i wymiół z niej wszelkie żywe stworzenie.

A i podróżni znać drogą nie przechodzili, bo droga była zarosła dziką trawą, a taką jakąś twardą i suchą, jak gdyby na nią nigdy żadna kropla deszczu nie spadła a słonko nie ogrzało swoim promieniem.

Michałkowi i Basiuli ciężko było iść po tej trawie, a biedna Basiuła za każdym stąpieniem miała łzy w oczach, tak ją ta trawa raniła po bosych nogach.

Szła jednak nie skarżąc się, Michałek za to od czasu do czasu burknął coś niecierpliwie a wreszcie zaklął!

— Bodajeś!..

Ale nie dokończył przekleństwa, bo nagle usłyszał zgryźliwy śmiech, zrobiło się dokoła ciemno, duszno, a wśród tej ciemności zdawało się, że wszystkie chaty zerwały się do tańca i wirują nad ich głowami.

— W Imię Ojca i Syna... — przeżegnała się pobożnie Basiuła, przymknęła powieki i przytuliła się do brata.

Gdy otworzyła oczęta, było znowu cicho dokoła, chaty stały milczące, mrok szary zamienił się w noc zupełną a na niebie połyskiwały złote gwiazdy...

— Och, ty tchórzu — zawołał, nadrabiając miną Michałek, chociaż sam przeląkł się ogromnie. — Już po-

wiadam, że te dziewczuchy, to byle czego zaraz się boją! — dodał pogardliwie.

Przygarnął jednak siostrzyczkę ku sobie i szli znów dalej w milczeniu.

Tylko Michałek od czasu do czasu poświstywał i myślał sobie:

— Przecie ja pracować nie będę, co mi tam; powiadają, że są gdzieś ukryte skarby, które bez pracy zdobyć można, czemużbym ja takiego skarbu nie miał znaleźć?

I gwizdał sobie, myśląc o owych skarbach. A wieś zamiast się kończyć, wydłużała się rzędem chat milczących, na ciemnym niebie gwiazdy, które się ukazały na chwilę, zgasły teraz zupełnie; ciemność otoczyła ich dookoła.

— Czy ta wieś nigdy się nie skończy — szepnęła Basiuła.

— Czart ją wie! — rzekł ze złością Michałek.

A zaledwie wymówił te brzydkie słowa, znów dały się słyszeć przeciągłe śmiechy; pociemniało jeszcze więcej, a chaty tańczyły nietylko nad ich głowami, ale zdawało się, że ich otaczają i wkrótce porwą ze sobą.

— „Pod Twoją obronę”... — zawołała Basiuła, i objęła za szyję braciszka.

— W Imię Ojca i Syna — przeżegnał się wśród najwyższego strachu Michałek.

I począł drzeć na całym ciecie, aż go Basiuła uspokajać musiała.

— Nie bój się braciszku, nie bój — mówiła — matusia tam uprosi Boga, że nas nie opuści.

I poczęła mówić głośno:

— „Pod Twoją obronę”...

— „Pod Twoją obronę...” — powtarzał za nią Michałek, a w miarę jak się modlił dzikie śmiechy cichły powoli, ciemności znikać poczęły a na ciemnym niebie gwiazdeczki mrugały swemi złocistemi oczkami.

I szli znów chwilę jakąś, aż Basiulę taka niemoc ogarnęła, że osunęła się na ową twardą trawę i bezsilna zupełnie upadła.

— Ach, cóż ja teraz z nią pocznę! — zawołał Michałek z nieklamany zalem, bo kochał bardzo siostrzyczkę.

— Basiuła, Basiuła! — wołał pochyliwszy się nad leżącą.

Ale Basiuła miała oczki zamknięte i wcale jego wołania nie słyszała.

Wziął ją tedy na ręce, a chociaż mu było bardzo bardzo ciężko, niósł ją jednakże.

— Zapukam do pierwszej lepszej chaty, możeć przecie ktoś nam otworzy — pomyślał sobie, dźwigając siostrzyczkę.

A zaledwie pomyślał, aż tu widzi, że stoi tuż przed chatą.

Przez maleńkie okienka widać wesoły ogień na kominie, a drzwi przed nim na rozcież otwarte.

Nie namysławiając się długo, wszedł do sieni, potem do izby.

Obejrzał się, niema nikogo. Złożył na ławie siostrzyczkę i począł rozcierać jej ręce.

(d. cn.).

Bajka Agaty.

(Dalszy ciąg).

— Co się tu stało! — krzyknęła głosem wystraszonego, a tak głośno, że wszystkie dzieci umilkły naraz, oglądając się strwożone, gdyż w pierwszym momencie nie wiedziały skąd ten wykrzyknik pochodzi.

— Co to? — zapytał Józio.

— Co to? — rzekł Wicio.

Rozalka wyciągnęła rączki do Agaty, a ta wzięła dziecinę na kolana, Helenka śmiać się przestała, a Morusek przypomniał sobie jak rano wyjechał za drzwi, choć teraz nic winien nie był, pospieszył na swą poduszkę, czując się tam bezpieczniejszym.

— Sądny dzień! — zawołała Franciszka, czerwona jeszcze z przestachu.

— Ach! — rzekła Agata tuląc Rozalkę do siebie — takich dwóch niegrzecznych chłopców mieć w domu, to wytrzymać trudno.

Gdy się rzecz wyjaśniła o co były te hałasy, Franciszka wzruszyła ramionami:

— Czy Józio widział — zapytała — aby jajka na twardo podawano do czekolady? he? A Rozalka czy nie byłaby głodna gdyby zamiast talerzyka kaszki z mlekiem i jajka, zjadła na kolację karmelek? Jak się tu dłużej takie sceny dziać będą, to ja podziękuję za służbę, człowiek co chwila przeraża się, jakby koniec świata nadszedł. Na całym świecie dwóch takich niegrzecznych dzieci nie znajdzie.

Dzieci znów się zawstydyły, Morusek ukosem spoglądał czy i jemu się co nie dostanie z tej bury, odetchnął też swobodnie, gdy gderając ciągle, Franciszka wyszła z pokoju.

Uciszyło się jakoś wszystko, Agata namówiła Rozalkę, aby nowe miasto postawiła na miejsce zburzonego, a dziewczynka zabrała się z cierpliwością do dzieła.

Józio szepnął do ucha braciszкови, że będzie robił portret Franciszki z rądem w rękę; naturalnie, że Wicio postanowił natychmiast zrobić drugi taki sam, bracia zabrali się z zapalem do pracy.

Helenka poprosiła Agaty o bajkę, obiecując w imieniu wszystkich, że będzie bardzo cicho, spokojnie i grzecznie, poszukała zgubionej podczas śmiechu igły, a przysunawszy się bliżej Agaty, rzekła z przymileniem:

— Moja Agatusiu kochana, opowiadaj nam już tę obiecaną bajkę.

Agata poprawiła okulary, [wzięła porzuconą pończochę, a choć z niej jeden drut zupełnie był wywleczony, nic się już nie gniewała i tak mówić zaczęła:

BAJKA AGATY.

Za wysokimi górami, za ogromnemi lasami, za siódmym morzem, za dziesiątą rzeką, mieszkał król z królową, a mieli czworo dzieci.

— To coś tak jak u nas — szepnęła Helenka, ale

umilkła, bo Agata zastrzegła sobie jeszcze przedtem, aby jej nie przeszkadzano.

— Dzieci te — mówiła dalej Agata — były bardzo dobre i grzeczne.

— Jak my! — wykrzyknął Józio.

— Aha — mruknął Wicio.

— Jak jeszcze raz przerwiecie, mówić nie będę wcale — rzekła Agata — nie skończyłabym bowiem i przez rok mojej bajki; a czy te dzieci były do was podobne, to mi powiecie na końcu.

Agata mówiła dalej swą bajkę.

(c. d. n.)

ZAGADKA:

przez E. M.

W jednym imieniu aż trzy znajdujemy rzeki:

Pierwsza, trzecia, w Azji krainie dalekiej
Z gór Bajkału się toczy na północ, gdzie lody
Morzu dały swą nazwę i łączy z niemi wody.

*Druga po włoskiej pięknej, zdobnej w mirty ziemi
W jasnym słońcu migoczą falami srebrnymi,
A zdążając ku ujściu powoli, szeroko,
Miesza je, rozdzielona, z Wenecką zatoką.*

Wraz trzecia, użyźniając nam Suwalskie strony,
We wsi Łukach odwilża najpierwej zagony;
Zkąd, barwiąc się jak wstążka sina, w krętym biegu
Do lewego Szyrwinty zmierza wartko brzegu.

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

ułożył Szczur Faraona.

a	1	W kwadracie o 9-ci
b	.	2	przedziałkach oznaczo-
c	.	.	3	nych literami ułożyć w
d	.	.	.	4	każdej wyraz dziewię-
e	5	.	.	.	ciogłoskowy, w których
f	6	.	.	litery oznaczone liczbami
g	7	.	złożą imię i nazwisko
h	8	słynnego rzeźbiarza z XV-go w.
i	9	Znaczenie wyrazów: a) Słynny

mieszczanin krakowski z XIV w. b) Jeden ze stanów północnej Ameryki. c) Dawny mieszkaniec połud. Afryki. d) Najpotężniejsza rzeka w Ameryce półn. e) Miasto w Meksyku. f) Miasto nad Prgłem. g) Miasto w Apulii prow. Włoch. h) Miasto w Hiszpanii. i) Wulkan na południu Europy.

KWADRAT MAGICZNY.

ułożył Wróbelek.

Dopływ Warty.

Rachuba czasu w historyi.

Biblijny piękny ogród.

roz ROZWIĄZANIE DO N-ru 42-go.

Zagadki: Czas.

Łamigłówki w trójkącie:

L
 k u c
 m u e h a
 j e d y n a k
 m a s k a r a d a
 r y t o w n i c t w o

Skrzynka do listów.

Umiesz korzystać z dobrego przykładu *Zosiu J.* skoro zaczęłaś pisywać do nas widząc, jak z nami koresponduje twoja siostrzyczka. Mamy nadzieję, że ta pierwsza odezwa będzie początkiem częstej wymiany myśli między nami i że będziesz nas uwiadamiać o wrażeniach doznanych przy czytaniu „Wieczorów”. Tym razem donosisz, że płakałaś nad losem Elżbiety w powieści drukującej się w dodatku. Świadczy to, że niedola bliźnich w rzeczywistości żywej jeszcze obchodzić cię musi, nizeli smutne losy bohaterów powieści, a współczucie to objawiasz zapewne czynną pomocą, wedle możliwości niesioną nieszczęśliwym.

Pytasz *Antosiu K.* dlaczego ludzie z gęsi zrobili symbol ograniczenia. Mniemamy, że jest to tylko niesprawiedliwem względem niej uprzedzeniem, gdyż gęś nie okazuje mniej zmyślności od innych okazów drobiu domowego. Wychowuje ona z wielką troskliwością małe pisklęta i broni je odważnie przed napaśnikami. Oddaje też największe z pośród domowego ptactwa usługi ludziom, którzy z jej mięsa i pierza wielorakie ciągną korzyści. Długi czas pióra gęsie, używane do pisania przyczyniały się do szerzenia oświaty i rozpowszechniania pożytecznych wiadomości. Dokumenty historyczne wprawdzie podpisywano zwykle orleni piórami, ale to zaszczytne wyróżnienie dla króla ptaków dowodzi tylko, iż na świecie okazałość zewnętrzna, wyżej często stawiana bywa, od cichej i prawdziwej zasługi.

Ucieszyłam się wyczytawszy w sprawozdaniu konkursowem nazwisko twoje i twojej małej siostrzyczki Myszek polna. Nie wątpię bowiem, że prace wasze starannie i dokładnie wykonane były i że w roku przyszłym niewątpliwie jeszcze w tym kierunku uczynicie postępy. Miłszem nad wszelkie jednak pochwały być wam musi uczucie zadowolenia, na myśl że praca wasza okrywa ubogie dzieci. Pytasz Myszek czy zamierzam na zimę odlecieć w cieplejsze strony? Instynkt zachowawczy możeby tak postąpić radził, ale życzliwość dla młodych moich korespondentów skłania mnie do pozostania na miejscu bez względu na deszcze i chłody jesienne. Nie chcąc tedy aby dalekie dzieliły nas przestrzenie proszę, abyscie po dawnemu nie do Afryki tylko do Warszawy adresowali listy do wiernej waszej

Jaskółki.